

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

38

— Hm.. — panna Frania skierowała nagle rozmowę na najświeższe mody wiosenne, opowiedziała, że zamierza sobie sprawić jedwabny kostium i odpowiedni do niego kapelusz, poczem ją się zbierać do odejścia.

— Pa! Julia, spieszy mi się.

— A cóż to tak ważnego miałaś mi do powiedzenia, że aż wyprosiłaś pana Milewicza?

— Eh! To nic... Głupstwo, innym razem ci powiem.

Już jej nie było w pokoju. Pozostała tylko silna woń heliotropowych perfum, którymi Frania obficie skrapiała suknie.

Julia pozostała sama dziwnie zaniepokojona. Obawiała się czegoś, nie zdając sobie dokładnie sprawy, czego się właściwie lęka.

Wiedziała tylko, że gdyby mogła Milewicza zobaczyć choć przez chwilę uspokoiłaby się zaraz. Przyszło jej na myśl, że może spoika go na ulicy, jeżeli zaraz wyjdzie z domu.

Włożyła kapelusz i szybko zbiegła po schodach i z ciemnej bramy wpadła w topiel złotych, ciepłych promieni słońca majowego. Olsniona blaskiem przysłoniła ręką oczy, a kiedy przywykła już do światła, jąta rozglądać się, czy nie zobaczy gdzie Milewicza.

Nie szukała napróżno. Istotnie zobaczyła go idącego po przeciwległym chodniku. Szedł obok Frani Grabkówny i rozmawiał z nią bardzo żywo. Tak był zajęty swoją towarzyszką, że panny Ożarskiej nie zauważył wcale. Frania kiwała głową, „strzelala“ oczyma i pokazywała białe zęby w uśmiechu zalotnym.

Słońce świeciło wciąż jasne, promienne, ale Julii Ożarskiej pociemniało nagle w oczach. Z wyschniętym gardłem, z bolesnym skurczem serca stała długą chwilę, spoglądając za Franię

i Milewiczem, dopóki jej nie zniknęli na zakręcie ulicy.

Wieczorem daremnie czekała z kolacją na Milewicza. Nie przyszedł...

ROZDZIAŁ X.

Życie mści się.

Różia Goldbaumówna wracała do domu już po dziesiątej. Była u Borowickich, by pomódz trochę Wandzie w czuwaniu nad chorym ojcem, bo biedna dziewczyna, wyczerpana lekcyami, gospodarskimi zajęciami i nieprzespanymi przy łóżku chorego nocami, upadała formalnie ze znużenia.

Różia chciała nawet zołać na całą noc, ale Borowicka prawie gwałtem wyprowadziła ją do domu, lękając się interwencji Goldbaumów. Pomoc ta zresztą była już o tyle zbyteczna, że przyszedł Michał Ruda, którego trudno było prześcignąć w troskliwości i umiejętnych staraniach. Nikt tak nie umiał dogodzić profesorowi jak on.

Co to za dobry chłopak i jak on Wandzię kocha — myślała Różia — a ona cierpi przez tego wymuszanego karyerowicza. I nie zrywa z nim, choć on jej daje dziesiątki powodów. Co to za fatalna siła miłości. A gdyby tak Tadek był podobny do Rawicza, czy kochałabym go pomimo tego? Niel! Niel! Jak ja mogę nawet porównywać Tadeka z tamtym! Biedny Tadulek! Co on tam teraz porabia?...

Noc była cicha, ciepła, gwiaździsta, pachnąca jaśminem i różami.

Różia podniosła oczy ku gwiazdom migoczącym na firmamencie, wdychała woń kwiatów, płynący z każdym powiewem wiatru, dumiała o wielu, wielu rzeczach. Nie wesołe były to myśli. Dziewczyna czuła, że jej smutno i tęskno. Jakiś przechodzień zaczął ją brutalnie, zachnęła się i przyspieszyła kroku.

Już niedaleko domu przesunęła się koło niej szybko jakaś niewielka postać w płaszczu z podniesionym do góry kołnierzem i czapce nasuniętej głęboko na oczy.

Światło latarni padło na tę dziwnie i po-

dejrzanie wyglądającą figurkę. Różia spojrzała mimowoli i wydało się jej nagle, że poznaje rysy twarzy brata.

— Poldek! — chciała zawołać zdumiona, ale tajemnicza postać zniknęła już, jakby cieniem tylko była.

Różia nie wiedziała co o tem spotkaniu myśleć. Czyżby to był naprawdę Poldek? Ale cóż on mógł robić o tej porze na mieście i tak dziwnie ubrany?

Zastanowiła się. Może chłopak tak przedwcześnie wykrada się na poznawanie brudnych uciech nocnego życia miejskiego?

Ale nie! To niepodobna!

— To chyba nie był Poldek. Musiał mi się zdawać tylko. Zresztą jak przyjdę do domu, to się przekonam. Ale Poldek spi już pewnie, albo czyta kryminalne powieści. Ten chłopak pożera poprostu tę idyotyczną, niezdrową lekturę. Już nawet Sienkiewicza zarzucił, tylko Sherloki Holmesy czyta.

Różia otworzyła drzwi matka. Był to wypadek dość niezwykły, bo Goldbaumowa lubiła wcześniej chodź spać. To też Różia zdziwiła się i zaniepokoiła nawet nieco.

— Mama nie spi jeszcze?

— Ja czekała na ciebie. Gdzie ty tak długo była?

— U Borowickich.

— Po co ty tyle siedzisz u tych „gojów“ i to u takich „kapcanów“. Co tobie z nich! Ojciec się gniewa o to.

— Dobranoc, mamol — Różia nie wdając się w żadną dyskusję skierowała się do swego pokoju. Ku wielkiemu jej zdziwieniu matka potoczyła się za nią na swoich krótkich, tłustych nogach.

— Różia...

— Co, mamol?

— Ja tobie chciała coś powiedzieć.

— Słucham. — Różia zdjęła kapelusz i bluzkę i okryła ramiona białym, nocnym kaftanikiem, ozdobionym haftem.

— Leon Klugfeder był znowu dzisiaj.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i wyjąwszy szpilki z włosów, jąta układać na noc warkocze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Leon Daudet.

Serce i nieobecność.

(Z francuskiego tłum. Marya Jadwiga Migowa).

13

— Dobrze, dobrze, niech pan zachowa swoją przepaskę na oczach. Ale, gdy pan znajdzie się w towarzystwie tej nieposzlakowanej wdowy, to proszę przypomnieć sobie naszą rozmowę i obserwować trzeźwo.

Wracając ulicą Lépic Ginetta trapiła się, że działała zbyt szybko i nieogłędnie. Grantouvre zapewne uprzedzi Marion o jej podejrzeniach i ta wówczas stanie się jeszcze bardziej ośrozną. Zazdrość jest złą doradczynią, a otwartość zawsze pomyłką.

Ginetta nie miała racji w tym wypadku. Malarz dołknęty do żywego w swem najgłębszym uczuciu, postanowił milczeć. Skoro pani Etienne odeszła wzięł obraz ze stalug, ustawił w pełnym świetle i mówił kłiwie:

— Prawda, ty nie umiesz kłamać? Te usta nie oszukują? Tyś czysta i godna najczystszej miłości, najwyższego uwielbienia.

— — — — —
Odjazd Franciszka wywołał u jego narzeczonej nastrój melancholijny i przygnębiony. Sercem dziewczyny szarpały niepokoje i złe przecucia.

Nietylko tęskniła za Franciszkiem, ale poczyniała rozumieć, że w pożyciu małżeńskim rodziców zachodzi jakieś poważne przesilenie.

Domyślała się, że powodem tych niesnasek jest jej przyszła teściowa, dręczyła się różnymi przypuszczeniami.

Kochała głęboko ojca, szanowała matkę, miała dużą sympatię dla Marion, a jednak nie mogła tym tak bliskim jej osobom nic pomódz. Nie mogła wpłynąć na akcję życiowego dramatu, który musiał się rozegrać.

Marion również nie czuła się dobrze. Nie mogła sypiać po nocach, dręczona wyrzutami

sumienia, wspomnieniem o mężu, a przede wszystkim paniczną trwogą przed Ginetą.

Czuła, że w tamtej muszą zbudzić się podejrzenia, które zechce sprawdzić. Rozumiała, że stosunek pomiędzy nią a Klaudyuszem, jeżeli będzie trwał dalej, to pewnego pięknego dnia musi być zdemaskowany.

A Ginetta nie cofnie się przed skandalem!... I wówczas...

— Ależ mój syn — mówiła sobie Marion — jest żołnierzem, śmierć grozi mu co chwila i on ma poślubić córkę tej kobiety, którą ja zdradzam, oszukuję...

I nie znajdowała w sobie innej myśli, innego usprawiedliwienia prócz: „Umrę, jeżeli utracę Klaudyusza. Moje dziecko nie może żyć mi śmierci. Janka go kocha i nie porzuci. Prawdziwa miłość zwycięża wszystko!“

W ten sposób usiłowała ze swego egoizmu wykręcać jakieś iskry nadziei.

Te rozmyślenia tak ją dręczyły, że postanowiła zwierzyć się komuś. Jedynym człowiekiem, któremu mogła uczynić takie wyznanie był Fabiusz Grantouvre. Zdecydowała się, że pójdzie do niego.

Malarz pracował właśnie nad portretem, kiedy weszła Marion z oczyma rozszerzonymi bezsensownością, ze spieczonymi wargami, osłabiona, zenerwowana i piękniejsza niż kiedykolwiek.

Fabiusz zmieszał się i wybał jakiegoś niezrozumiałego pozdrowienia.

Marion może nawet nie słyszała tego, bo od razu rzekła mu:

— Drogi Fabiuszu, przychodzę tutaj do ciebie, aby odzyskać spokój duszy i równowagę umysłu. Od kilku dni życie stało się dla mnie męką. Dręczą mnie najgorsze myśli. Wysłuchaj mnie pan, nie przerywając. Błagam cię o to...

Grantouvre w jednej chwili objął myślą sytuację. Zrozumiał, że brzydka, zazdrosna żona Klaudyusza Etienne powiedziała prawdę.

Przygotował się na tortury duchowe, przy czem udało mu się zachować naturalny, spokojny wyraz twarzy. Tylko ręce, trzymające paletę drżały lekko.

— Przyjacielu drogi, daleś mi dowody wielkiego przywiązania. Musisz zrozumieć dła-

gom cię obrała za mego powiernika, prawie za spowiednika. Ciężar to zbyt wielki na moje barki, nie mogę go udźwignąć sama, muszę podzielić się z kimś. Oddaj mi tę przysługę, drogi przyjacielu...

Grantouvre szepnął:

— Proszę, mów pani...

Marion przybliżyła się do malarza i położywszy mu głowę na ramieniu wyznała tonem dziecka, które wie, że zbłądziło:

— Od kilku tygodni jestem kochanką Klaudyusza. Wiem, że jestem podła, chciałabym umrzeć, ale nie mam siły rozstać się z nim. Jestem kobietą szarfbioną, zgubioną.

Grantouvre mógł się dobrze opanować dzięki temu, że ta rewelacja nie była dla niego nie spodzianką.

Nie uczynił żadnej wymówki tylko zapytał prawie zupełnie spokojnie bez wzruszenia:

— Jakże to się stało? Opowiedz, dziecko, opowiedz wszystko.

Uczyniła zadość jego żądaniu. To opowiadanie, które on jeszcze godzinę temu uważałby za absurd i oszczerstwo, przyszło jej z zadziwiającą łatwością. Podała różne szczegóły, wymieniła ulicę des Ombres bez wahania, bez osłonek, bez wstydu.

Grantouvre napróżd przygnębiony, potem oburzony w miarę opowiadania Marion poczynął interesować się tą historią miłosną, która mu przypominała własną jego młodość.

Kiedy skończyła, zalewając się strumieniami łez, objął ją ramieniem, ucałował po ojcowsku w czoło i trzymając jej rączki w swoich dłoniach jął pocieszać:

— Skończyłam — rzekła Marion, opuszczając głowę na pierś — wie pan teraz wszystko. Więc cóż mi pan doradzi?

Obawiając się, że niedokładnie wyraziła się, sprecyzowała swoje zapytanie:

— Co mam robić?

— Gdybym powiedział: zerwać, to powiedziałaby pani, że to niemożliwe. A jednak to jest jedyne wyjście, kochana pani Marion, bo przecież nie możesz poślubić Klaudyusza...

(Ciąg dalszy nastąpi).